

**Prof. dr hab. ANDRZEJ BOROWSKI**

Uniwersytet Jagielloński w Krakowie

## GŁOS W DYSKUSJI

Tytuł naszej tegorocznej dyskusji nad sprawami dotyczącymi polskiej nauki może nas, uczestników tej debaty, nastrajać rozmaicie, co jest skądinąd zaletą (ale też i wadą) wszelkiego rodzaju metafor. Na tej wieloznaczności zresztą, zarówno organizatorowi, jak też i większości (mam nadzieję) jej uczestników, mogło zależeć. Nic tak bowiem nie mobilizuje intelektualnie, jak wieloznaczność formuł, które określają podstawy wyjściowe (ale nie konkluzję!) każdej debaty, czyli – jeśli wolno przypomnieć łacińską etymologię tego wyrażenia (*debatuo* – obszturchuję, objam kogoś) – całkiem dynamicznej dyskusji z niekoniecznie przewidywalnymi wnioskami końcowymi. Temat zaś nasz dzisiejszy szczególnie do takiej formuły – jak sądzę – przystaje, bowiem „nauka”, jakkolwiek by to pojęcie miano definiować, zrodziła się i rodzi nadal w dialogu podmiotu albo z poznawaną rzeczywistością, albo też – pośrednio – z tym czy z tymi, którzy o tej rzeczywistości już wiedzę posiadli. Już w tak zarysowanej (w dużym uproszczeniu) społecznej sytuacji uprawiania nauki, czyli poszerzania i pogłębiania wiedzy, bardzo wyraźnie unaocznia się nieuniknioność konfliktu i nieprzewidywalność ostatecznego sukcesu. Dotyczy ona najpierw tych, których różnią od siebie ich hipotezy, metodologie i wnioski, do jakich dochodzą. Zajmuje nas tu jednak coś innego, a mianowicie przede wszystkim nierównorzędną pozycję tych, którzy naukę uprawiają, i tych, którzy wiedzy z tej nauki wynikającej potrzebują i za nią (czy raczej za jej koszty) są gotowi (albo i nie) tym pierwszym tak czy inaczej płacić. Nie potrafię się dotąd wyzwolić, co prawda, od zauroczenia faktem, że istniały w wiekach zwanych przez nieporozumienie „średnimi” również i takie obyczaje, które za przekazywanie wiedzy zabraniały uczącym się płacić bezpośrednio tym, którzy ich nauczali (do tego

służyła instytucja kwestora), bowiem zdolność do uprawiania nauki i dzielenia się wiedzą na jej podstawie budowaną uważano za charyzmat, dany uczonemu za darmo przecież przez Stwórcę. Przy uwzględnieniu kosmicznych odległości, jakie nas dzisiaj od tamtych czasów i obyczajów oddzielają, trwałym jednak w przekonaniu, że gdzieś tam w świadomości wielu z nas, którzy w tego rodzaju akademickich relacjach społecznych pozostajemy, duch podobnie pojmowanej motywacji do bezinteresownego (co nie znaczy samobójczego) uprawiania nauki i przekazywania wiedzy o niej jednak się uchował. Tym jednak, co dzisiaj nas tutaj gromadzi i do debaty, ale też i do szczerości wzajemnej wobec siebie skłania, jest trzeci podmiot, który w nowoczesnej strukturze akademickiej wydaje się bytem oczywiście i naturalnie niezbędnym i który obie tradycyjnie obecne w niej strony – uczących i nauczanych – zgodnie z pierwotnym sensem wyrażenia debata „poszturkuje”. Jest to mianowicie odpersonalizowany system nadzoru nad... i tutaj nie bardzo właściwie wiadomo, jakiego użyć by trafnie określenia: czy nad abstrakcyjnie rozumianą „nauką” (która wszak nie jest bytem), a może nad nami, którzy ją „uprawiamy” (znów metafora organiczna!), czy też może nad jej instytucjami – akademiami i uniwersytetami (wszak jakoby samorządny!) – które mają swoje infrastruktury i wymagają „dotacji” (czyli pieniędzy po prostu)? Wygląda na to, że tak pojmowane zarządzanie nauką, jako jedna z funkcji aparatu państwowego, obejmuje wszystkie wymienione i inne jeszcze formy działalności akademickiej, wyznaczając zarazem topografię owych „meandrów nauki polskiej”, które nas dzisiaj tu zajmują. Czy można by sobie mianowicie wyobrazić funkcjonowanie nauki polskiej jako ciekłu rzeczno-ego w linii mniej więcej prostej, nie skomplikowanego owymi meandrycznymi zakolami albo nawet wręcz kaskadami? Jeżeli to niemożliwe, to czym rzeczywiście w takim razie są owe zakola i przeszkody? A co więcej: czy obraz rzeki płynącej raz bystrzej, raz znowu wolniej, oddawać ma jednak ruch owej struktury „nauką polską” nazywanej w kierunku określonym jakąś – jak to w przyrodzie ma miejsce – grawitacyjną koniecznością i w końcu „celowością”? To może byłoby nawet jeszcze nie najgorsze, mamy wszak bowiem co jakiś czas, co kadencję ministerialną niemal, wrażenie prób realizacji przysłowiowego „zawracania rzeki” nie tyle kijem, co instrumentami znacznie od kija trudniejszymi do zdefiniowania: raz wydają się nimi być przesłanki racjonalne (oszczędność i funkcjonalność wydatków), innym zaś razem bardziej ideologiczne (te uwidaczniają się wyraźniej w obszarze nauk humanistycznych i społecznych). Najdotkliwsze jednak, bo skutkujące konkretnie wymiernym nakładem sił i czasu, są działania sprawozdawczo-kontrolne, które nie tylko zajmują rozbudowany (pomimo komputeryzacji) aparat administracyjny, lecz także stymulują wszystkim dobrze znane działania pozorujące, skoro pierw-

szoplanowym przedmiotem oceny bywa przede wszystkim ilość (punkty), a nie jakość działań naukowych, tę zaś „zmierzyć” (?) jest znacznie trudniej niż policzyć liczbę znaków (już nie stron!) w publikacji stanowiącej przedmiot zainteresowania instytucji oceniającej czyjąś aktywność naukową. Wszystko to są sprawy zbyt dobrze znane środowiskom naukowym, aby je trzeba było w tej dyskusji w szczegółach opisywać. Przywołuję je tu tylko dlatego, aby ową wspomnianą na wstępie niejednoznaczność skojarzeń z metaforą „meandrów nauki” powiązanych przekształcić jednak w konkluzję jako tako pozytywną: po pierwsze – owa „podróż” zakolami, raz w lewo, raz w prawo, wyczerpująca środki i energię intelektualną jest obrazem poddania się bezwładności raczej, aniżeli konieczności; po drugie – zarządzanie nauką nie może czerpać natchnienia z błędnie (nieprofesjonalnie) rozumianego pragmatyzmu menedżerskiego, rozpytującego głównie o wyniki finansowe przedsiębiorstwa; po trzecie – trzeba nieustannie przypominać, sobie nawzajem i tym, którzy nauką instytucjonalnie administrują, że żaden instrument kontroli nie zastąpi motywacji podstawowych, niejako „naturalnie” do uprawiania nauki niezbędnych: uczciwości, poczucia osobistej godności i... ciekawości, która faktycznie jest ową energią stale nas w żegludze poprzez „meandry” poznawanej rzeczywistości napędzającą.